



Mistrzowie

Ilustracji

LUDWIK  
—  
JERZY

KERN

PROSZĘ  
SŁONIA

ilustracje  
Zbigniew  
Rychlicki



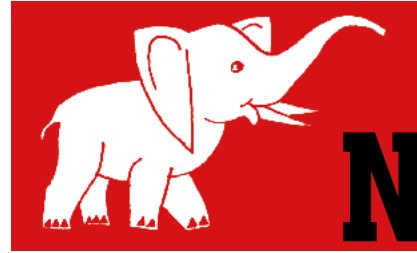
Ludwik Jerzy Kern

# PROSZĘ SŁONIA

• *Ilustrował*  
*Wbigniew*  
*Rychlicki*  
*L* •



Wydawnictwo Dwie Siostry  
Warszawa 2023



Na imię ma Dominik i jest słoniem. Urodził się chyba jakieś sto lat temu. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Dominik nie posiada żadnego dowodu, więc trudno mi dokładnie określić jego wiek. Czy to jest zresztą takie ważne? Normalnie słonie rodzą się gdzieś w azjatyckiej dżungli albo w afrykańskim buszu. Musicie wiedzieć bowiem, że znamy dwa gatunki słoni: słonie indyjskie, które mają wklęsłe czoło i małe uszy, oraz słonie afrykańskie, które uszy mają ogromne, zwisające jak u spaniela, a czoło wypukłe. No więc, jak już powiedziałem, te indyjskie rodzą się najczęściej w dżungli, a te afrykańskie w buszu. Busz — to jest taka wielka równina, pokryta gdzieniegdzie krzakami, zeschniętymi trawami i karłowatymi drzewami. Często słoń jest wyższy od najwyższego drzewa w takim buszu. Oczywiście dorosły słoń, bo małe słonie są, naturalnie, o wiele niższe.

Ale z Dominikiem było inaczej. Dominik nie urodził się ani w Indiach, ani w Afryce. Dominik urodził się w fabryce porcelany. Nigdy nie był mały ani duży. Od razu był taki, jaki jest. A jest wielkości małej owieczki. I tak jak owieczka jest cały biały.

Dawniej Dominika znało całe miasto. Bo zaraz po urodzeniu został przywieziony do pewnego miasta i tam, w wielkiej aptece, która znajdowała się na Rynku, a która nazywała się „Pod Słoniem”, ustawiono go na wystawie.

Z trąbą dumnie zadartą do góry stał na tej wystawie Dominik przez wiele, wiele lat. W zimie bywało mu nieraz strasznie zimno, za to w lecie było mu prawie tak ciepło, jak jego dalekim afrykańskim kuzynom. Patrząc sobie całymi dniami przez szybę, poznał Dominik wszystkich mieszkańców miasta. Wydawało mu się, że go lubili. Przechodząc, uśmiechali się do niego, kiwali mu rękami, a nawet robili perskie oko, co wcale nie jest rzeczą taką znowu łatwą.

Dzień za dniem upływał Dominikowi beztrąsko i gdyby nie muchy, które mu dokuczały czasami, Dominik byłby najszczęśliwszym słoniem pod słońcem. Niestety, szczęście nie trwa wiecznie. Pewnego dnia nastąpiło coś okropnego, coś, co zniszczyło szczęście Dominika. Nie był to ani pożar, ani powódź, ani trzęsienie ziemi. Ani nawet nie kamień, który nagle wpadł przez szybę i najpierw rozbił ją, a później Dominika. Nic podobnego, Dominikowi nic się nie stało. A jednak tragedia jego była nieodwracalna. Po prostu zmieniono nazwę apteki. Apteka przestała się nazywać „Pod Słoniem”, a zaczęła się nazywać „Pod Lwem”.

Zabrano Dominika z wystawy, a na jego miejsce postawiono porcelanowego lwa, imieniem — o ile się nie mylę — Kamil.

Ale to już nas nic nie obchodzi...

Dominik powędrował na strych.

W ciemnościach, wśród najrozmaitszych rupieci i szpargałów, w kurzu takim, że aż oddychać było trudno, spędził Dominik wiele długich lat. Od tego kurzu stawał się coraz bardziej szary, aż w końcu zrobił się zupełnie czarny i trudno go nawet było zauważyć.

Prócz Dominika na strychu mieszkały jeszcze nietoperze, kawki, stado dzikich gołębi i kilka sympatycznych myszek. Obok starego poprutego manekina stał wielki wiklinowy kosz. W tym koszu znajdowały się różne, bardzo ciekawe książki. Książki przez cały dzień spały, a kiedy przychodził wieczór, budziły się i zaczynały na głos opowiadać to, co w każdej z nich było napisane.

Na strychu wtedy robiło się cicho i wszyscy z największym zainteresowaniem słuchali opowieści książek. Każdy usadawiał się tak, żeby mu było najwygodniej. Kawki siadały obok komina, bo tam im było najcieplej; gołębie przytulały się jeden do drugiego i we wszystkich ciekawszych momentach trącały się porozumiewawczo skrzydłami; myszki wystawiały łebki ze swych

rodzinnych szpar i dziur, a nietoperze zwisające z sufitu kręciły ze zdumienia swymi włochatymi główkami.

Ale najbardziej zachłannie słuchał tych opowieści Dominik. Leżał sobie nieruchomo na boku (bo tak go położono) w swym ciemnym, zakurzonej kącie i nic, tylko słuchał, słuchał i słuchał. Właściwie to podobały mu się wszystkie opowiadania, jakie by nie były, ale, między nami mówiąc, najbardziej lubił opowiadania o zwierzętach, a już prawdziwą przyjemność sprawiały mu opowiadania o słońiach. Jedna z książek, wyjątkowo gruba, taka, że pewnie miała więcej niż tysiąc stron, była cała o zwierzętach, o ich życiu i zwyczajach. Na całe szczęście ta właśnie książka była niesamowicie gadatliwa, zupełnie niby jakaś stara plotkara. Skoro tylko zaczęła, potrafiła gadać całą noc bez przerwy!

Od niej właśnie Dominik dowiedział się najprzedziwniejszych rzeczy o słońiach.

Przede wszystkim dowiedział się tego, co wy już wiecie: że słońie dzielą się na indyjskie i afrykańskie. Dowiedział się o tych uszach i o czołach, i o tym, że afrykański jest przeważnie trochę większy od indyjskiego i że indyjski daje się oswajać, a afrykański nie. Ogromnie mu się zrobiło miło, kiedy usłyszał, że słońie są największymi żyjącymi na świecie czworonogami. Nie ma się czemu dziwić! Ostatecznie Dominik czuł się — słońiem.

Tak prawdę mówiąc, to reszta towarzystwa nie bardzo lubiła opowiadania o słońiach. Gołębie chciały, żeby opowiadać ciągle o gołębiach, nietoperze chciały słuchać tylko o nietoperzach, kawki o kawkach, a myszki o myszkach. Kiedy ta gruba książka zabierała się do opowiadania o słońiach, gołębie, niezadowolone, zaczynały gruchać, kawki skrzeczały po swojemu, nietoperze popiskiwały, a myszy chrobotwały, wygryzając ze złości dziury w podłodze. Biedny Dominik przez ten cały hałas nie zawsze mógł wszystko dobrze usłyszeć. Ale tak już jest na świecie, myślał sobie, że liliputy nie lubią, kiedy się przy nich wychwala olbrzymów. Sam nigdy nie przeszkadzał, kiedy mówiono o innych zwierzętach, słuchał cierpliwie, ponieważ wiedział, że wszystko w życiu może się przydać, a jeśli nie chciało mu się słuchać, to spał. Nie odezwał się nigdy ani jednym słowem i wszystkie antysłoniowe wystąpienia znosił z największą godnością.

Nikt nie jest w stanie powiedzieć, jak długo to wszystko trwało. Mijały dni i noce, lata i zimy, jesień i wiosny, a na strychu nic się nie zmieniało. Rzadko kiedy tylko ktoś wpadał na chwilę, przynosił stary materac albo niemodne żelazne łóżko, opierał je o ścianę i prędko uciekał, cały oblepiony pajęczynami.

Pewnego dnia przyszedł na strych Pinio. Pinio naprawdę nazywał się Piotruś, ale w domu od małego wołali na niego Pinio



i tak już zostało na zawsze. Pinio był wesoły, miał zadarty jak Tadeusz Kościuszko nos i kilka piegów. Tych piegów w lecie było zawsze więcej niż w zimie.

Pinio łaził po strychu, zaglądał do wszystkich zakamarków, grzebał w koszu z książkami, aż wreszcie nadepnął niechcący na Dominika, którego prawie nie było widać pod warstwą kurzu. Pinio jednak miał dobre oczy. Spojrzał pod nogi i wtedy zamajaczył mu jakiś kształt. Sięgnął ręką i trafił na trąbę Dominika. Dotknął jej — a wtedy spod warstwy kurzu błysnęła biel porcelany.

— Coś dziwnego! — powiedział głośno. — Co też to może być?

Szybko, jakąś pierwszą lepszą szmatą, wytarł kurz z Dominika i ze zdumieniem szepnął:

— Słoń! To jest słoń. Śliczny porcelanowy słoń!

Natychmiast pobiegł na dół do ojca, który akurat czytał gazetę.

— Na strychu jest słoń — powiedział.

— Co takiego? — spytał ojciec, nie odrywając oczu od gazety.

— Słoń, śliczny biały słoń!

— No i co z tego?

— Niiiic — powiedział Pinio. — Może bym mógł sobie go zabrać?

— Dokąd?

— Do mojego pokoju.

— A weź sobie, tylko daj mi święty spokój! — zniecierpliwił się ojciec.

Tego samego dnia Pinio zniósł Dominika na dół. Najpierw zaniósł go do łazienki i tam wymył go porządnie wodą z mydłem, a potem zabrał do swojego pokoju i postawił na półce z książkami; dokładnie: na przedostatniej półce od góry, która była przeznaczona na najwyższe książki. Ponieważ tych najwyższych książek było zaledwie kilka, na półce znalazło się jeszcze dość miejsca dla Dominika. Na wysokość, mimo zadartej w górę trąby, Dominik też się idealnie mieścił, a nawet miał nad sobą parę centymetrów wolnej przestrzeni pomiędzy końcem trąby a ostatnią półką.

„Nie mogłem lepiej trafić — powiedział sobie Dominik, kiedy już jako tako oswoił się z nowym miejscem. — Całkiem tu przyjemnie, ciepło, czysto i w dodatku książki pod ręką...”

Tak właśnie powiedział: „pod ręką”, mimo że jako słoń powinien określić to inaczej: „pod trąbą”. Ale Dominik był na tyle inteligentnym i odczytanym, a właściwie mówiąc — osłuchanym słoniem, że zdawał sobie doskonale sprawę z tego, iż wyrażenie: „pod trąbą” może brzmieć nieco lekceważąco. A na coś takiego

w odniesieniu do książek, którym przecież tak wiele zawdzięczał, Dominik nie pozwoliłby sobie za żadne skarby!

— Teraz słoń będzie tutaj stał, proszę słońia — oznajmił Pinio. — Musisz być grzeczny, mój słońiu, cicho się zachowywać, kiedy odrabiam lekcje, a jak już skończę odrabiać, to wtedy dopiero będziemy mogli się bawić, chcesz?

— Chcę — powiedział Dominik, ale tak jakoś dziwnie cicho, że Pinio absolutnie nic nie usłyszał. Zresztą może Dominikowi się tylko zdawało, że powiedział: „chcę”, a w rzeczywistości nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

W każdym razie Dominik chciał powiedzieć: „chcę”, mogę was o tym zapewnić.

— Będę ci opowiadał różne historie — ciągnął dalej Pinio. — Będę ci opowiadał, co się dzieje w szkole, w mieście, na wycieczkach i w ogóle będę ci opowiadał wszystko!

„Znakomicie — pomyślał Dominik. — Strasznie lubię słuchoać, jak ktoś opowiada”.

— Opowiem ci wszystko o mamusi, o tatusiu, o babci i o dziadku. I o moim bracie, którego tutaj teraz nie ma, bo wyjechał i uczy się, żeby zostać inżynierem, i o mojej siostrze, która jest artystką w jednym teatrze i która czasem do nas przychodzi. Jak tylko przyjdzie, to cię zaraz z nią poznam.



© Copyright for the text by Krzysztof J. Kern, Roksana Iwanicka-Nowicka, 2023

© Copyright for the illustrations by Andrzej Rychlicki, 2023

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, 2023

ISBN 978-83-8150-406-5

wydanie I w tej edycji

**wydawnictwodwiesiostry.pl**

korekta: Anna Mirkowska

projekt graficzny serii: Ewa Stiasny

skład i przygotowanie do druku: Piotr Bałdyga

druk: Białostockie Zakłady Graficzne SA

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

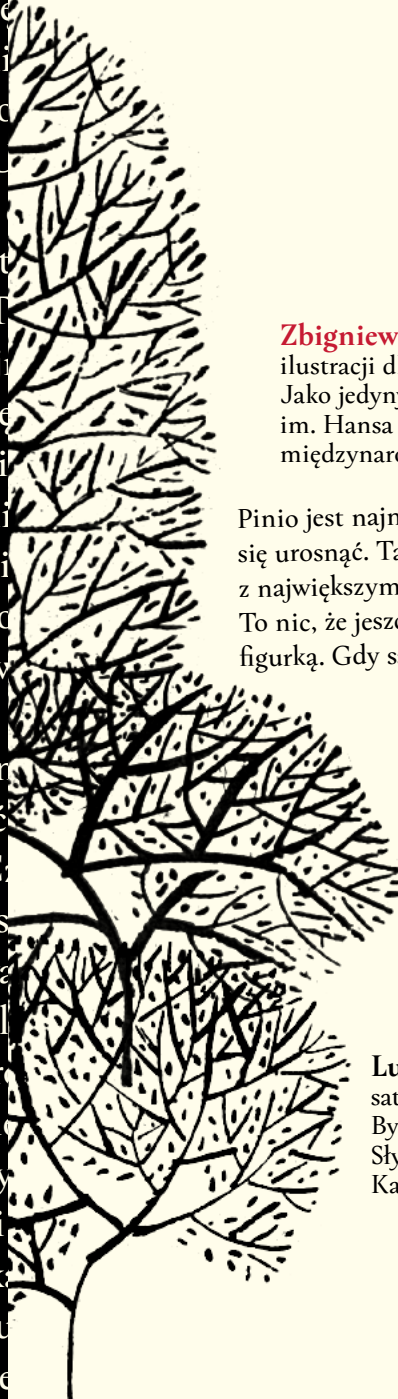
00-391 Warszawa

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).



Wydrukowano na papierze Munken Print Cream 15 100 g/m<sup>2</sup> z papierni Arctic Paper Munkedals, wyróżnionym znakiem jakości dla bezpiecznych produktów wytwarzanych zgodnie z zasadami gospodarki obiegu zamkniętego.





# Mistrzowie Ilustracji

**Zbigniew Rychlicki** (1922–1989) — klasyk polskiej ilustracji dla dzieci. To on namalował Misia Uszatka. Jako jedyny Polak został uhonorowany Medalem im. Hansa Christiana Andersena — najważniejszą międzynarodową nagrodą dla twórców książek dziecięcych.

Pinio jest najniższy w klasie i nie bardzo udaje mu się urosnąć. Tak się jednak składa, że przyjaźni się z największym białym słoniem świata, Dominikiem. To nic, że jeszcze niedawno był on zwykłą porcelanową figurką. Gdy są razem, nic im niestraszne.

- **Co to za pojazd?**
- **Słoń — wyjaśnił Pinio.**
- **Jaki model?**
- **Dominik — odparł Pinio, bo nie wiedział, co powiedzieć.**

**Ludwik Jerzy Kern** (1921–2010) — poeta, satyryk, tłumacz, autor książek dla dzieci i piosenek. Był związany z Krakowem i tygodnikiem „Przekrój”. Słynął z niezrównanego poczucia humoru. Został Kawalerem Orderu Uśmiechu i zasiadał w jego kapitule.

ISBN 978-83-8150-406-5



9 788381 504065 >

wydawnictwodwiesiostry.pl